

Warszawski podziemiocentryzm

22 marca 2013

Pamięć o Warszawie w czasie ostatniej wojny została zdominowana przez doświadczenia walki z okupantem. W zbiorowej świadomości warszawiaków wszyscy ich dziadkowie zmagali się z Niemcami. Zapomina się, że większość z nich interesowała się nie bronią, lecz raczej szmuglowaniem rąbarki albo masła.

Kilka tygodni temu starałem się zwrócić uwagę na powszechność zawężania historii Polski w czasie II wojnie światowej do doświadczenia Warszawy. Tym razem chciałbym skupić się na temacie zbiorowej pamięci o okupowanej stolicy i dotyczących jej wyobrażeń.

Kiedy zostaje poruszony temat Warszawy podczas II wojny światowej, przed oczami rozmówców i słuchaczy stają obrazy z konspiracji: zamach na Kutscherę, młodzi ludzie w biało-czerwonych opaskach czy też mury pokryte kotwicami polski walczącej. Doświadczenia warszawiaków zawęża się więc w większości przypadków do aktywnej walki z hitlerowskim najeźdźcą. Taki stan rzeczy jest zrozumiały, ponieważ stolica faktycznie była silnym ośrodkiem oporu. Powoduje to jednak pewne zafałszowanie obrazu wojennej rzeczywistości.

Trzeba pamiętać, że Warszawa składała się właściwie z trzech różniących się bardzo obszarów: getta, dzielnicy niemieckiej i strefy aryjskiej. W każdej z nich ludzie przeżyli okupację w inny sposób. Jeżeli rozpatruje się doświadczenia Polaków w Warszawie, to ograniczyć się trzeba do strefy aryjskiej.

SZMUGLOWANIE MIĘSA ZAMIAST MALOWANIA KOTWIC

Wbrew powszechnemu wyobrażeniu, większość warszawiaków wcale nie była zainteresowana walką z wrogiem. Przeważająca liczba mieszkańców stolicy zachowywała się jak kapral Leon Kuraś, a nie podchorąży Władysław Niwiński z Polskich dróg. Nie

angażowali się oni w niebezpieczne przedsięwzięcia i starali się po prostu przeżyć. Część aktów oporu była wymuszona restrykcyjnymi przepisami, a nie poczuciem obowiązku. Gdyby wyobrażenia o powszechnym heroizmie były prawdziwe, ludność Warszawy składałaby się z tytanów o nerwach z żelaza, którzy przez pięć lat nie zajmowali się niczym innym, jak tylko konspirowaniem.

Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Jeżeli wierzyć statystykom w 1939 roku w Warszawie mieszkało 1 289 000 osób. Od tej liczby trzeba odjąć przesiedlonych, a potem zamordowanych Żydów, a dodać do niej przesiedleńców z zachodnich regionów Polski. Można więc bez większej przesady powiedzieć, że w 1944 roku w Warszawie żyło około miliona Polaków (szacunki wahają się od ok. 900 tysięcy do 1,1 miliona). W powstaniu warszawskim udział wzięło 47 tysięcy żołnierzy polskiej podziemnej, czyli niecałe 5% warszawiaków. Odejmując tych, którzy zaangażowali się w konspirację po godzinie W, można przyjąć, że do sierpnia 1944 roku w działalność podziemną zaangażowało się niecałe 4% mieszkańców.

Powszechnie wiadomo że istnieje „kłamstwo, wielkie kłamstwo i statystyka”, dlatego powyższe wyliczenia trzeba traktować niezwykle ostrożnie. Nie wiadomo na przykład, ilu walczących nie zostało zaliczonych do powstańców, a jedynie do cywilów. Co więcej, dane te dotyczą stanu (i to przybliżonego) z czasu powstania, a nie wcześniejszej okupacji. Nie powinno się jednak wyrzucać tych liczb do kosza, mimo wszystko wskazują one bowiem na coś ważnego. Nawet, jeśli są dramatycznie zaniżone, wskazują tak czy siak na niski odsetek czynnych konspiratorów wśród mieszkańców Warszawy.

Nie ma w tym nic dziwnego. Mieszkańcy stolicy, chociaż przesiąknięci patriotyczną atmosferą, zachowywali się raczej jak bohaterowie „Café pod Minogą” Wiecha. Ze szczerego serca nienawidzili hitlerowców, ale do walki w podziemiu się nie rwali. Okraść wagon z niemieckim węglem, śpiewać zakazane piosenki, pędzić bimber, to tak, ale biegać z „rurą” i

strzelać do „szkopów”, to już nie. Polecam zresztą serdecznie lekturę wspomnianej powieści (jak i pozostałych) Wiecha. Pozwala ona odbrzązować warszawiaków, spojrzeć na nich jak na ludzi, którzy przede wszystkim chcieli żyć.

Większość mieszkańców stolicy nie brała bezpośredniego udziału w działaniach konspiracyjnych. Warszawiacy zarabiali za to zarówno w niemieckich firmach państwowych, jak i prywatnych. Warto dodać, że jednym z najmocniejszych papierów była legitymacja urzędnika miejskiego. Ktoś musiał się przecież zajmować się normalnymi pracami, dzięki którym miasto mogło funkcjonować. Polacy pracowali zatem w wodociągach, jako tramwajarze, sprzedawcy, szeregowi pracownicy banków i drobni urzędnicy. Niemcy nie zatrudniali przecież folksdojczów, aby ci dostarczali listy na Solec albo Czerniakowską. Nikt z rasy panów nie był motorniczym albo strażakiem. Prace te wykonywali Polacy, otrzymując swoją pensję co prawda w „góralach”, ale z rąk niemieckich zwierzchników. Trudno było znaleźć w Warszawie osobę, która w ten czy inny sposób nie była uzależniona od administracji okupantów. Można było pracować na przykład w warsztacie należącym do Niemca lub remontować jego dom. Wielu z tych ludzi, pomimo powszechnego entuzjazmu, nie poszło w sierpniu 1944 roku na barykady.

Bardziej niż stenami i visami, mieszkańcy Warszawy zainteresowani byli mięsem. Tym zatem, co najczęściej zaprzętało ich głowę, nie były kolejne odezwy i konspiracja, a kawałek przemyconej rąbanki. Szmugiel rozwinął się na nieznaną wcześniej skalę. Jedni przewozili szynkę jedynie na własną potrzebę, inni szli w hurt. Kiedy na stację przyjeżdżał pociąg z prowincji, na peron wylewały się wręcz fale ludzi objuczonych trefnymi towarami. Rąbanka, szynki, tytoń, bimber... Istniały nawet firmy, które potrafiły przewozić całe wagony takich rarytasów. W sprawę byli zaangażowani oczywiście pracownicy kolei (oficjalnie pracujący dla Niemców), bez których nie udawałoby się przewozić olbrzymich ilości kontrabandy. Przy cichym pozwoleniu okupantów ludzie ci

dorobili się niesamowitych majątków.

Jeszcze inne były przeżycia członków warszawskiego półświatka. Zaprawieni w bojach z Policją Państwową, nie zmienili nazbyt swoich zainteresowań. Podobnie jak wcześniej, plac Kercelego był miejscem, w którym można było kupić wszystko, czego dusza zapagnie. Z tą tylko różnicą, że na składzie warszawskich handlarzy przybyło „rozpylaczy” i „rur”. Starzy wyjadacze warszawskich zaułków chętnie odkupowali broń od Niemców, aby potem sprzedać ją polskiemu podziemi. Na najsłynniejszym warszawskim targowisku można było też oczywiście kupić walutę. Z tej niesamowitej dogodności korzystali nie tylko Polacy, ale również okupanci. Niejeden dobry interes został ubity nie z mieszkańcem Mokotwa, a z majorem Wehrmachtu. Działalność taka, chociaż nie zyskiwała powszechnej aprobaty, nie spotykała się również z potępieniem.

Rzecz jasna przedwojenne zakapiory nie stały się z chwilę wybuchu wojny kryształowymi ludźmi. Kradzieże, mordy i rozboje zdarzały się tak samo, jak przed wrześniem 1939 roku. Wystarczy przywołać dane, zgodnie z którymi tyko w grudniu 1943 doszło do 379 rozbojów i 3790 kradzieży.

Gdzie zbrodnia tam i kara, musiały zatem istnieć służby porządkowe. Granatowa policja kojarzy się zazwyczaj kolaboracją, jednak, wbrew powszechnej opinii, walka z podziemiem nie była jej głównym zadaniem. Jej funkcjonariusze zajmowali się w większości zwykłą rutynową pracą policyjną. Łapali drobnych złodziei, kierowali ruchem, etc. Sprawami większego kalibru zajmowali się członkowie polskiego kripo. Warszawiacy zabijali siebie nawzajem nie tylko z powodów politycznych. Zwykłe zbrodnie również wymagały wykrycia. Nie wolno przy tym zapominać, że członkowie obu organizacji brali czynny udział w polowaniu na Żydów.

KONSPIRACJA, ALE JAKA?

Bywało, że należenie do konspiracyjnej grupy nie pociągało za

sobą wywrotowych działań. Za dobry przykład może posłużyć Tadeusz Borowski, który pisał do nielegalnej Drogi, a jednocześnie średnio był zainteresowany walką z okupantem. Fascynowały go za to butelki bimbru. Jednym z najsławniejszych konspiratorów niepodlegającym oporu z bronią w ręku jest chyba Miron Białoszewski, który tworzył nielegalny teatr Swena.

Niekiedy za wyznacznik bycia „prawdziwym” (a nie przyjezdnym) warszawiakiem uważa się posiadanie w rodzinie powstańców. Jest to jeden z licznych przykładów megalomanii i snobowania się. Oczywiście wielu rodowitych mieszkańców Warszawy od samego początku konspirowało przeciwko Niemcom, jednak nie robili tego wszyscy. Niektórzy od września 1939 do sierpnia 1944 stemplowali koperty, prowadzili tramwaje czy też łapali złodziei, zaś ich głównym celem było przeżycie, a nie zabijanie Niemców. Na tle reszty Polski nie byli ani mniej, ani bardziej heroiczni

Autor: Paweł Rzewuski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

O AUTORZE

Paweł Rzewuski – student filozofii i historii Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania badawcze historyczne: teoria literatury, historia Polski i Rosji w pierwszej połowie XX w., historia Rzeczypospolitej Obojga Narodów, systemy państw totalitarnych i historia filozofii. Zainteresowania badawcze filozoficzne: bioetyka psychopatologii, filozofia umysłu, neurologia, tożsamość osobowa w czasie, ontologia Internetu. Wielki fan twórczości Bacha oraz wielbiciel Kaczmarzkiego i Iron Maiden.